

OSZYCHAC

TYGODNIK STRESZCZEN.



Nr 23.

17.IX.1943.

6d.

1. OD REDAKCJI.....	str. 2.
2. KIEDY NASTĄPI KONIEC WOJNY.....	3.
3. WIZJA LOTNICTWA Z XIX STULECIA...	8.
4. MALTA - JEJ UDZIAŁ W WOJNIE.....	13.
5. PAMIĘTNIK ŻOŁNIERZA.....	18.
6. CZY WIECIE, ŻE.....	23.
7. GERALDINA.....	24.
8. BRYTYJSKI HUMOR.....	28.

OKŁADKA: Wydobywanie żywności z podziemnych magazynów na Malcie. Z tyłu zbombardowane domy i świątynia.

OD REDAKCJI.

Wobec kategorycznej odmowy Ministry of Supply zwiększenia naszego kontyngentu papieru o 360 lbs. na cztery miesiące, zmuszeni jesteśmy przejść od 1 października b.r., to jest w ostatnim kwartale, na dwutygodnik. Trudno jest wogóle polemizować na ten temat. Redakcji jest bardzo przykro z tego powodu. Materiału nam nie brak. Chęci do pracy także. Tematów posiadamy w teczce wielką ilość, a jedne ciekawsze od drugich. Działka tu jednak siła wyższa, której rady nie damy. Tym więcej, że żadnej pomocy materialnej, ani moralnej ze strony władz polskich nie otrzymujemy. Jedziemy o własnych siłach; z własnych, skromnych dochodów pokrywamy deficyt.

A propos deficytu. Część znikoma naszych dłużników przysłała należność. Dziękujemy im za to serdecznie. Ale reszta, przytłaczająca większość, zachowuje się niestety nader dyskretnie, nie odpowiadając ani na nasze apele, ani na przesłane im rachunki i upomnienia. A wszak zaznaczaliśmy, iż brak wiadomości upoważni nas do działania na własną rękę i zwolni nas od wszelkiej dyskrecji w powyższej sprawie.

Czytelnicy, nie pragnący być naszymi prenumeratorami, mogli łaskawie o tym zawiadomić lub zwrócić przesłany im egzemplarz. W przeciwnym

Dok. na str. 2

Kiedy nastąpi koniec wojny.



Mr. Harry Hopkins.

Zdobycie Sycylii, upadek Mussoliniego, śmierć króla Borysa bułgarskiego, rewolta w Danii, a wreszcie ostatnio inwazja półwyspu Apenińskiego - wszystkie te wypadki wywołały wszędzie optymistyczne przeświadczenie, że wojna potrwa już niedługo. Jedni przewidują jej koniec w przyszłym roku, inni nawet w obecnym. Harry Hopkins, administrator pomocy wojennej w ramach "Lease and Lend Bill" oraz jeden z najbliższych doradców prez. Roosevelta, wypowiedział niedawno pogląd, że wojna potrwa co najmniej jeszcze dwa lata. Na łamach "The American Magazine" twierdzi on, że Niemcy trzeba będzie zdobywać cal po calu, a wojna z Japonią musi potrwać długo, gdyż potencjał przemysłowy tego państwa wzrósł ostatnio niepomniernie. A oto na czym opiera on swoje wywody.

W czasie rozmów z autorytetami wojskowymi armii i floty amerykańskiej nie spotkałem nikogo, ktoby wierzył w szybkie zwycięstwo. Musimy wprzód wysadzić wielkie siły we Francji, aby wkroczyć do Niemiec, które trzeba będzie zdobywać cal po calu. Położenie gospodarcze głównych państw Osi nie jest bynajmniej rozpaczliwe. Bombardowanie lotnicze i blokada morska nie wplynęły dotychczas na wyraźne pogorszenie ich sytuacji wojskowej. Mają dosyć żywności, odzieży oraz amunicji i sprzętu wojskowego. W ciągu ubiegłego lata nie zauważyliśmy wyraźnego zmniejszenia się produkcji wojennej w Niemczech. Morale ludności niemieckiej nie zostało jeszcze

załamane, a miliony ludzi z krajów podbitych pracują na nich. Sprzymierzeni zrobili dotychczas niewielkie wyłomy w zewnętrznych liniach obronnych Niemiec. Pomimo strat na froncie rosyjskim oraz w czasie bombardowań lotniczych, armie państw Osi są dobrze karmione, a świetnie wyekwipowane i uzbrojone.

Oczywiście prawdą jest, że stopa życiowa ludności cywilnej obniżyła się od zeszłego roku, lecz Niemcy mają dostateczną ilość jedzenia i odzieży, pomimo, że część odzieży i obuwia wyrabia się z namiastek. Łagodna zima 1942/1943 dała obfite żniwa. Niema żadnych dowodów, że w Niemczech były rozruchy żywnościowe. Niemcy jedzą lepiej niż inne narody w Europie, po prostu dlatego, że zabierają im ich żywność.

Przypuszczalnie otoczenie Hitlera zwątpiło w końcowe zwycięstwo Niemiec, lecz ma ono nadzieję, że przez przedłużenie wojny zmęczą nas i uzyskają pokój kompromisowy. Przez dalsze ofiary i poświęcenia chcieliby doprowadzić nas do takiego znużenia i wyczerpania, że sami zaczniemy wołać: "Dosyc". W rachubach tych jednak mylą się, gdyż nie odstąpimy od żądania bezwarunkowego poddania.

Trzecia część przemysłu niemieckiego w zagłębiu Ruhry została zniszczona. Lecz zagłębie Ruhry to nie jest cała Europa. Niemcy mają ogromne zakłady przemysłowe, przeniesione do wschodnich Niemiec i do Polski. Istnieją nienaruszone wielkie obszary przemysłowe we Francji, Czechosłowacji i Italii. Istnieją prawdopodobnie zakłady przemysłowe, wybudowane pod ziemią. Przemysł europejski pracuje dziś napewno tak samo wydajnie, jak pracował przemysł brytyjski w czasie najgorszych niemieckich bombardowań. Ogólnie należy oceniać, że przemysł niemiecki obniżył swoją wydajność zaledwie o 10%.

W Niemczech odczuwa się dotkliwy brak tłuszczów i olejów, lecz mają jeszcze tych produktów na tyle, aby wojsko mogło walczyć, ludność cywilna miała co jeść, a ludność Europy nie wymarła z głodu. Zaopatrzenie w kauczuk i gumę jest

niedostateczne, lecz nie jest jeszcze rozpaczliwe. Niemcy posiadają ciągle dostateczne ilości stali i aluminium dla budowy łodzi podwodnych i samolotów. Produkcja tych dwóch rodzajów broni nie obniżyła się znacznie, a nawet ostatnio produkcja samolotów myśliwskich prawdopodobnie wzrosła. Niemcom brak pewnych rzadkich metali, lecz naukowcy niemieccy potrafią je zastąpić namiastkami. Sytuacja transportowa Niemiec jest niewątpliwie trudna. Lecz tu również nie brak im pomysłowości. Wykorzystują oni do maksimum wewnętrzne drogi wodne oraz szybko naprawiają uszkodzone parowozy i wagony.

Straty Niemiec w tej wojnie wynoszą około 3 milionów ludzi. Lecz straty te zostały uzupełnione przez wycofanie robotników z fabryk i zastąpienie ich obcymi. Około 13 milionów obcych robotników pracuje dziś w Niemczech.

Niemcy ciągle jeszcze mają pod bronią 10 milionów ludzi. Rzecz prosta, że stan fizyczny tych wojsk nie jest taki sam, jak w czasie walk we Francji lub w Polsce, lecz potrafią one walczyć dobrze, jak to pokazały ostatnio na Sycylii.

Produkcja wojenna Japonii jest nie tylko w dobrym stanie, lecz będzie stale wzrastała, jeśli nie potrafimy zniszczyć japońskich ośrodków przemysłowych oraz ich floty handlowej. Różni eksperci twierdzili uporczywie, że przemysł japoński jest skoncentrowany głównie na wyspach japońskich i nie trudno byłoby zniszczyć go przy pomocy bombardowań lotniczych z wysp Aleuckich lub lotniskowców. W rzeczywistości zaś Japończycy w ciągu ostatnich lat przed wojną bardzo silnie rozbudowali przemysł wojenny w Mandżurii, północnych Chinach, Korei i na Formozie. Produkcja żelaza i stali stale wzrasta, gdyż w Mandżurii i w północnych Chinach wybudowano szereg nowych wielkich pieców, a surowca w tych krajach nie brak. **Niezależnie** od tego wszystkiego, Japonia zdobyła ogromne bogactwa surowców po wybuchu tej wojny. Dysponuje ona bez mała całym światowym zapasem kauczuku, a źródła naf-

towe w Indiach Holenderskich zostały w pełni uruchomione.

Nawet gdyby Japonia straciła wszystkie zewnętrzne wyspy, zdobyte w ciągu ostatnich dwóch lat, to mimo to nie będzie jeszcze pobita całkowicie. Może zawsze bezpiecznie wycofać się i oprzec o wielkie zasoby naturalne w Azji wewnętrznej oraz wielkie zapasy materiału wojennego, które wyprodukowała w ciągu ostatnich 10 lat. Jeżeli natomiast Japonia nie straci w ciągu najbliższego roku zewnętrznych wysp, to jej zapasy sprzętu wojennego wzrosną w takim stopniu, a produkcja rozwinie się do rozmiarów, które pozwolą jej bardzo długo bronić swych ostatnich zdobyczy.

Absurdem jest twierdzenie, że Japonia ze swymi 100 milionami ludności plus wiele milionów ostatnio podbitych narodów może odczuwać brak rąk do pracy. Może jej tylko zabraknąć wykwalifikowanych robotników i techników oraz są dane na to, że odczuwa brak wyszkolonych lotników. Lecz nie żuźdźmy się, że wartość bojowa wyprodukowanego przez Japonię sprzętu wojennego jest niższa od naszego. Japonia nie odczuwa zupełnie braku żywności. Wiemy przecież bardzo dobrze, że wymagania Japończyka pod tym względem są bardzo skromne. Obecne zaopatrzenie Japonii w tłuszcz i oleje jest bardzo dobre.

Jak wyżej zauważyliśmy, państwa Osi nie odczuwają braku sił do pracy. Inaczej sprawa przedstawia się po naszej stronie. Gdy Ameryka weszła do wojny, W. Brytania miała już prawie na wyczerpaniu swe zasoby ludzkie, powołując wszystkich zdolnych do walki lub do pracy w fabrykach. Siły ludzkie Rosji są całkowicie zmobilizowane, nie posiada ona rezerw. W Chinach wszyscy pracują lub walczą. Jedynym krajem, który posiada duże rezerwy ludzkie, jest Ameryka.

Poważnym czynnikiem w prowadzeniu wojny jest czas. Dotychczas jednak pracuje on na korzyść naszych przeciwników. Wiele lat przed wojną

państwa Osi przestawiły swój przemysł na produkcję wojenną, a od początku wojny rozwinęły ten przemysł znacznie. Dziś posiadają więcej zakładów przemysłowych, niż na początku wojny.

Państwa Osi, z wyjątkiem południowego Pacyfiku, walczą na liniach wewnętrznych, posiadając blisko na tyłach zapasy materiału wojennego oraz swe zakłady produkcyjne. Wszystkie bez mała ich operacje oparte są o własne tereny lądowe. My musimy pokonywać tysiące mil, aby osiągnąć przeciwnika. Oni mogą walczyć z naszą flotą przy pomocy lotnictwa o niewielkim zasięgu, działającego z baz lądowych. My musimy ciągle zwiększać zasięg naszego lotnictwa.

My posyłamy wojska poprzez morza i oceany, podczas gdy ich wojska walczą na własnym terytorium, mając blisko zaplecze. My zmuszeni jesteśmy posyłać swoim wojskom wszystko, co im jest potrzebne do życia i walki: benzynę, żywność, ubranie, amunicję, czołgi, samoloty, mydło, wykałaczki itd. Nasze okręty z zaopatrzeniem nie mogą iść najkrótszą drogą, gdyż czasem dłuższa jest krótszą, bo bezpieczniejszą. We wszystkich tych sprawach czas odgrywa pierwszorzędną rolę. Nasi szefowie sztabów muszą planować na długi naprzód, kiedy i gdzie wysłać nasze wojska. Każdy statek musi być właściwie załadowany i musi poruszać się z dokładnością kolejowego pociągu. Trzeba codziennie nakarmić każdego żołnierza. Trzeba go uzbroić i zapewnić mu dostawę amunicji i zaopatrzenia.

W czasie ostatniej wojny nasi żołnierze weszli do walki w Europie po kilku miesiącach wyszkolenia. Dziś potrzebny jest cały rok, aby z rekruta zrobić dobrego żołnierza. Wyszkolenie specjalistów trwa jeszcze dłużej. Potrzeba półtora roku, aby wyszkolić dobrego bombowego pilota.

To są w sumie te wszystkie okoliczności, które przesądzają, że wojna nie skończy się szybko.

Gdy wejdziemy do Włoch, Norwegii, Francji, Niemiec czy Chin, może trzeba będzie przystoso-

wać narzędzia walki do nowych warunków terenowych. W ogniu bitwy wychodzą na jaw różne błędy, których konstruktorzy nie przewidzieli. Trzeba na nowo konstruować, a to wymaga czasu. Każdy nowy teatr wojny potrzebuje innego sprzętu wojennego. Trzeba znowu się głowić i przerabiać, co nie daje wykonać się od razu.

Nie chcę gasić optymizmu społeczeństwa amerykańskiego, pragnę tylko, aby ten optymizm przetrwał dłużej. Zbytnia ufność we własne siły prowadzi do zwolnienia tempa, a to przedłuża czas wojny.

Wierzę głęboko, że zakończymy zwycięsko wojnę w 1945 roku tak z Niemcami jak i z Japonią...

Wizja lotnicza z XIX stulecia.

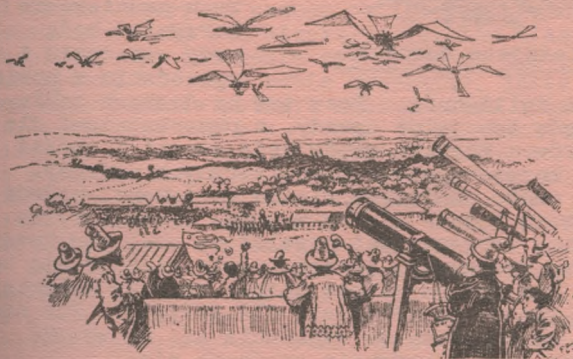
W starym, angielskim magazynie z roku 1898 znaleźliśmy doskonałą przepowiednię na temat rozwoju lotnictwa w dwudziestym stuleciu. Załączone rysunki obrazują jak autor artykułu i współcześni mu wynalazcy wyobrażali sobie latający świat.

Jak będzie wyglądać świat, gdy ludzie nauczą się latać i gdy statek powietrzny lub latająca maszyna będą tak spopularyzowane, jak obecnie samochód czy rower? Poeta i wynalazca, dwaj marzyciele, potrafili w swych wyobraźniach nadać swym wizjom całkiem realne kształty. Wynalazcy pracują nad konstrukcją balonów, skrzydeł i samolotów. A są to twardzi ludzie... Twierdzą stanowczo, że tak jak para i elektryczność są cudownymi osiągnięciami naszego stulecia tak opanowanie powietrza będzie jednym z cudów XX-go wieku.

I rzeczywiście wiele wskazuje, iż tak się stanie w istocie. Spróbujmy przeto, zamiast twierdzić iż jest to utopia, lub też wchodzić w techniczne szczegóły, zbadać jakie zmiany w naszych miastach i w naszym życiu pociągnąć za sobą może w przyszłości rozwój lotnictwa na wielką skalę.

Przede wszystkim stworzy ono raj dla sportowców. Ten, kto zaznał rozkoszy galopu na dobrym koniu, kto pędził po gładkiej drodze na dobrym rowerze, kto potrafi się dobrze ślizgać, lub kto używa narciarskiego sportu, ten może sobie wyobrazić, jaka to rozkosz przebijać bezkresne przestrzenie powietrzne. Świat się nagle otworzy szerzej dla człowieka, gdy nie będzie on zmuszony kierować się po wydeptanych ścieżkach, lecz pokieruje maszyną zupełnie bezpiecznie i z absolutną pewnością, płynąc w powietrzu najkrótszą drogą do obranego przez siebie punktu.

Szybko zorganizują się lotnicze kluby. Ludzie urządzać będą rejsy, wyścigi, widoczne na ogromnej przestrzeni.



Wyścig powietrzny widziany oczami
wyobraźni marzyciela XIX-go wieku.

Lecz nowy środek komunikacyjny wkrótce znajdzie poza sportem i praktyczne zastosowanie. Weźmy na przykład problem odciążenia ruchu na przepełnionych ulicach wielkich miast, w rodzaju Londynu. Jeżeli tylko będziemy w stanie choć część tego ruchu przenieść w nieograniczone puste przestrzenie, w których obecnie, oprócz dymu, wróbla i drutów telegraficznych nie niema! Na-

si pradziadowie, nieco poetycznie przesadzając, nazywali niektóre dylizanse "fruwającymi karetami". Cóż to by było za dobrodziejstwo dla Londynu, gdybyśmy w rzeczywistości posiadali "latające dorożki".



"Latająca dorożka".

trzynych dylizansów. Poza tym na dachach zakładane będą specjalne ogrody, z poczekalniami dla pasażerów. Szybkie windy będą zwozić i wwozić ludzi, korzystających z powietrznych podróży.

Dla osób, udających się na kontynent, podróż powietrzem będzie wielką wygodą. Jeżeli tylko potrafiemy zorganizować przelot ze skał pod Dover na brzeg francuski, jakżeż ludzie cieszyć się będą, że już raz na zawsze unikną choroby morskiej. A poza tym co za przeżycia dla turysty. Już nie będzie on zmuszony do wspinania się na wysoką górę, po prostu pofrunie sobie na nią.

Takie to korzyści da latająca maszyna w pokojowym życiu ludzkości. Nie trzeba jednak zapominać o jej możliwościach w czasie wojny. Musimy pamiętać też, że wszelkie wynalazki najszybciej się doskonalą w czasie wojny.

Przede wszystkim latająca maszyna odda wielkie usługi wywiadowi wojskowemu. Już dzisiaj balony służą do tych celów. Ale balon ma ograniczony zasięg: przywiązany do jednego punktu, w najlepszym razie porusza się ciężko i powoli.

Co się tyczy architektury miast, bardzo ciekawie będzie się ona przedstawiać z większością domów o płaskich dachach, zapatrzonych w specjalne wejścia i platformy, z których pasażerowie korzystać będą przy wsiadaniu i wysiadaniu z powie-

Tymczasem maszyna, kierowana pewną ręką, mogłaby zbadać sytuację nieprzyjaciela i powrócić szybko do miejsca startu. Działałaby podobnie jak obecnie patrol kawaleryjski, zapuszczający się w teren nieprzyjacielski i ryzykujący każdej chwili spotkanie z wrogiem. Wojny dzisiejsze właściwie rozpoczynają się od potyczek kawaleryjskich. W przyszłych wojnach używać będziemy "brygad powietrznych", jako przedniej straży maszerujących armii. I pierwsze walki właśnie stoczone zostaną przez "patrole powietrzne".

Wojskowi niemieccy myślą o artylerii powietrznej, którą będą mogli użyć w przyszłej wojnie. Nie mają oni, rozumie się, na względzie zakładowania do balonu szybkostrzelnej armaty, aby z niej ostrzeliwać pozycję nieprzyjaciela. Projektują oni podwieszenie pod balonem ładunku dynamitowego, który po pewnym obliczonym przeciągu czasu urwie się nad nieprzyjacielskim miastem i eksploduje po zderzeniu się z dachem domu, czy też ziemią. Możemy sobie wyobrazić, jakie ogromne spustoszenie potrafi wykonać tego rodzaju mina, spadająca nagle z nieba. Przy atakowaniu miast od strony lądu lub napad na skoncentrowaną w porcie flotę od strony morza, tego rodzaju diabelski sposób wojenny mógłby dać dobre rezultaty. W każdym razie byłoby to o wiele tańsze niż strzelanie z olbrzymich armat.

Żeby się obronić przed tego rodzaju niebezpiecznym balonem, należałoby go zestrzelić daleko przed celem, do którego on dąży. Pewien zdolny wynalazca zaproponował, ażeby na granicy państwa, czy też fortecy, zakotwiczyć dużą ilość balonów strażniczych, posiadających w gondoli szybkostrzelne działo i kanoniera.

Ale powietrzne bombardowanie zawiera w sobie jeszcze inne niebezpieczeństwo. Czy może być coś bardziej denerwującego, jak widok nieprzyjacielskiego statku powietrznego, rzucającego śmiertelne pociski na domy ludnego miasta. Zaatakować go w tym momencie i zniszczyć byłoby wariactwem. Balon spadłby z całkowitym ładun-



Walka powietrzna.

kiem dynamitu w jedno miejsce zamiast rozrzucić pociski jeden po drugim.

Najwięcej boją się powietrznej broni... marynarze. Niedawno opisano świetną historyjkę o pewnym admirale, do którego zameldował się genialny wynalazca i przedstawił mu plany i model latającego aparatu. Admirał nie dostrzegł w wynalazku nowych możliwości walki, lecz przestraszył się go, jako narzędzia, mogącego zniszczyć całą flotę wojenną. Postawiłoby to, rozumie się, Anglię, wła-

dczynię mórz, w beznadziejnej sytuacji. Zabił przeto wynalazcę, zniszczył jego plany i schował jego ciało w skrzyni, na której nałożył pieczęcie z napisem "Tajne", ażeby nikt w tym czasie nie mógł odkryć sekretu jego patriotycznego czynu.

Ta fantastyczna historia zawiera w sobie tę prawdę, że opanowanie powietrza zmieni nie tylko warunki codziennego życia ludzi, lecz wpłynie również na sposoby prowadzenia przyszłych wojen.

W każdym razie czy wynalezienie maszyn latających zmieni na złe czy na dobre życie ludzkości, możemy się pocieszyć, iż wynalazek ten nie zostanie zastosowany w życiu za naszych czasów.

Tak kończy swą historię autor artykułu p. t. "WHEN MEN FLY" w "Cassell's Magazine" z roku 1898.

W wojsku przełożeni niejednokrotnie uczą żołnierzy, że pierwszym ich obowiązkiem jest dać życie za ojczyznę. Jest to błędna metoda. Należy uczyć: pierwszym obowiązkiem żołnierza jest postarać się, ażeby nieprzyjaciel poległ za swoją.

Chicago Sun.

Malta - jej udział w wojnie.



Generał W. Dobbie,
b. gubernator Malty.



Vice-Admirał Lyster,
dowódca konwoju.

W jednym ze swych artykułów, poświęconych obronie Malty, Ian Hay opisuje na łamach "Sunday Graphic" dramatyczną walkę, stoczoną przez lotniskowiec brytyjski "Illustrious" z lotnictwem niemieckim.

10 stycznia 1941 r. "Illustrious" wraz z innymi jednostkami floty brytyjskiej znalazł się o kilkadziesiąt mil na zachód od Malty. Na pokładzie lotniskowca wieziono partię samolotów typu Fulmar i Swordfish, niezbędnych do obrony powietrznej Malty. Jedną z eskadr tych samolotów miała właśnie wystartować z pokładu lotniskowca na Malte, gdy nagle 40 do 50 nieprzyjacielskich bombowców zaatakowało płynącą flotę. Nie trudno było rozpoznać, że są to bombowce niemieckie. Żaden z włoskich pilotów nie potrafiłby prowadzić maszyn z tego rodzaju zuchwałością i z tak bezwzględną determinacją. Nad morzem Śródziemnym zjawili się więc więc dawno spodziewani lotnicy niemieccy.

Pierwszy atak przypuściły na lotniskowiec dwa bombowce, rzucając torpedy wodne. Dowódca "Illustrious" zdołał ich uniknąć dzięki zręcz-

nej zmianie kursu okrętu. Myśliwce brytyjskie wystartowały z pokładu i przepędziły bezbronnych już napastników do wybrzeży Sycylii.

Nastąpił wtedy atak bombowców nurkujących. Chmara Junkersów przypuściła skoncentrowany atak i lotniskowiec zachwiał się pod morderczym uderzeniem. Z przeraźliwym hałasem niemieckie bombowce schodziły kolejno w dół, rzucając bomby. "Illustrious" znikł poza kłębam dymu i fontannami wody, wyrzucenymi przez pociski, które bądź trafiły w okręt, bądź też padły tuż obok niego. Gdy ujrzano lotniskowiec ponownie, włókł się on bezradnie poza linią okrętów brytyjskich, pokiereszowany dotkliwie i palący się w kilku miejscach.

Bombowce niemieckie pojawiły się znowu około godziny 12.30 w południe i w ciągu następnych trzech godzin wykonały sześć skoncentrowanych ataków, wymierzonych wyłącznie w lotniskowiec. Trzeci z rzędu atak był najcięższy. Nie wyrządził on więcej szkód, niż inne. Odparty został przez artylerię ciągle czynną, przy czym większość rzuconych bomb wpadła w morze. Lecz niestety potem okrętem już nie można było kierować. Mechanizm sterowy został uszkodzony i "Illustrious" kołysał się na morzu, zataczając szerokie koła. W końcu dowódca okrętu udało się nadać mu kierunek na Maltę przez nadzwyczaj umiejętne manewrowanie maszynami.

Ostatnie bombardowanie okrętu nastąpiło już blisko Malty. Był to skombinowany atak bombowców ciężkich, rzucających bomby z dużej wysokości oraz bombowców nurkujących. Po szczęśliwym odparciu tego ostatniego ataku, lotniskowiec mocno przechylony i ciągnięty przez holowniki, wszedł o zmroku do portu w Valetta. Pogruchotany, podziurawiony i palący się jeszcze, lecz mimo wszystko niezwyknięty.

Na szczęście Niemcy dali pięć dni wytchnienia. Nie atakowali zupełnie. W ciągu tych 5 dni robotnicy i żołnierze pracowali dzień i noc, wyładując statki handlowe i naprawiając szkody na

"Illustrious".

15 stycznia nad Valettą ukazał się niemiecki samolot rozpoznawczy. Nie wiadomo dlaczego posiadał on znaki Czerwonego Krzyża. Następnego dnia nastąpił atak lotniczy i Malta po raz pierwszy doświadczyła działania bombowców nurkujących. Około 100 tych samolotów przyszło z Sycylii w kilku kolejnych falach. "Illustrious" został trafiony tylko raz, lecz inne obiekty, znajdujące się w jego najbliższym sąsiedztwie, prawie wszystkie uległy zniszczeniu.

Był to pierwszy dzień. Następnego dnia znowu spokój. Nieprzyjaciel intensywnie przeprowadzał rozpoznanie, a Brytyjczycy i Maltańczycy z tą samą energią naprawiali wyrządzone przez nalot szkody. Przez następne dwa dni bombowce niemieckie atakowały Maltę ponownie, przy czym bombardowanie, wykonane drugiego dnia, było bardzo ciężkie i zrobiło wiele szkód. Dwa następne dni upłynęły spokojnie. Wszyscy zadawali sobie pytanie: "co nieprzyjaciel zamierza teraz?" Nerwy obrońców Malty były napięte do ostatecznych granic z łatwo zrozumiałych względów. Naprawa szkód na "Illustrious" posunięta była tak dalece, że w ciągu następnych 48 godzin lotnikowiec mógłby wyjść na morze. Pod warunkiem, że w ciągu tego czasu będzie można spokojnie wykończyć niezbędne roboty.

Robotnicy pracowali bez wytchnienia, a tyśiące żrenic utkwionych było w niebo. Mieszkańcy Malty niespokojnie nasłuchiwali, czy nie odezwie się wycie syren, zwiastujących nowy nalot niemiecki.

Lecz na szczęście syreny milczały i jeszcze jeden dzień przeszedł w spokoju i wytężonej pracy. Tego dnia po południu odbywało się w pałacu gubernatorskim normalne posiedzenie Rady Administracyjnej Malty. Przewodniczył gubernator, gen. W. Dobbie, siedząc przy końcu długiego stołu obrad. Cały ciężar odpowiedzialności spoczywał na jego barkach.

W pewnej chwili wszedł służący, zapalił światło i zaciągnął ciężkie zasłony okienne.

"Czas black-out'u" - powiedział ktoś z obecnych. "Chwała Bogu, "Illustrious" wychodzi w tej chwili w morze i jest już bezpieczny".

Tak było w istocie. Niemcy i tym razem przepapili świetną sposobność.

W dniu wybuchu wojny Malta posiadała dla swojej obrony cztery bataliony brytyjskiej piechoty, poniżej obowiązującego stanu, oraz jeden słabo wyćwiczony maltański batalion.

Na północnym wybrzeżu zbudowano pewną ilość punktów oporu, lecz było to zrobione w niedostatecznym stopniu dla odparcia możliwego ataku.

Dla obrony przeciw atakowi z powietrza, gen. Dobbie posiadał pewną ilość przeciwlotniczych dział oraz trzy sędziwe samoloty, typu Gladiator. Były one znane i szanowane na całej wyspie pod czcigodnymi nazwami: "Faith", "Hope" i "Charity", a obsługiwało je sześciu młodych członków Królewskich Sił Lotniczych /R.A.F. 'u/.

Gen. Dobbie był jednocześnie dowódcą wojskowym i gubernatorem wyspy, miał więc do rozstrzygnięcia wiele politycznych problemów. Problemy te nie były łatwe. Wpływy Włochów na wyspie były ogromne. Propaganda włoska czyniła tu wielkie postępy od chwili uchwycenia władzy przez Mussoliniego.

Gubernator musiał się więc odpowiednio zabezpieczyć. Internował wybitnego adwokata, jednego ze znanych duchownych oraz przywódcę miejscowych nacjonalistów.

Następnym zadaniem było przygotowanie dostatecznej ilości dobrych schronów.

W krótkim czasie wykuto w skałach około 13 mil podziemnych tuneli, a stare podziemne pieczary i katakomby przystosowano do współczesnych warunków życia.

Zrobiwszy, co było w jego mocy dla zapewnienia sobie lojalności i bezpieczeństwa ze strony mieszkańców Malty, sir William Dobbie przedsięwziął jeszcze ostateczny, nader drastyczny krok ogłosił ogólną mobilizację.

Wypowiedziana przez Mussoliniego wojna roz-

poczynąca się po północy 10 czerwca 1940 r. Okres oczekiwania był bardzo krótki. Syreny zawyły po raz pierwszy następnego dnia o 6.55 rano. Włoskie bombowce, eskortowane przez myśliwce, nadleciały tak wysoko, że były ledwo widoczne.

Obrońcy wzięli się natychmiast do dzieła. Baterie przeciwlotnicze otworzyły ogień ze wszystkich punktów wyspy, a czcigodne trzy brytyjskie samoloty wystartowały w powietrze.

Młodzi piloci posiadali bardzo mało doświadczenia w prowadzeniu powietrznych walk. Nabrali go jednak szybko i bez trudu, gdyż pierwszego już dnia wyspa miała ośm nalotów. Wybitnym i zachęcającym na przyszłość faktem, było strącenie tegoż dnia trzech nieprzyjacielskich bombowców. Obrona naziemna dowiodła swej wartości i zdobyła swe pierwsze ostrogi rycerskie. Wszystkie trzy Gladiatory wylądowały po ciężkim dniu bez jakiegokolwiek uszczerbku.

Pierwszy dzień nalotów nieco wyjaśnił plany nieprzyjaciela. Atak nie był kierowany na jakieś ustalone cele. Bomby rzucano wszędzie i jakkolwiekby.

W pierwszym tygodniu było razem 30 alarmów. Tak przeszły dalsze trzy tygodnie i jedna rzecz okazała się absolutnie pewną i bez wątpienia: Włosi stracili wspaniałą okazję do zdobycia wyspy szturmem w pierwszych dniach wojny. W tym stanie, w jakim znajdowała się obrona wyspy w czerwcu 1940 r., było po prostu beznadziejnym odparcie inwazji przeważających sił, szczególnie, gdyby lądowały one od razu w paru, wybranych przez siebie miejscach i pod ochroną bombardujących samolotów.

Podobnie jednak jak w stosunku do Anglii, nie usiłowano nigdy dokonać inwazji na Malte.

Mussolini chciał zdobyć wyspę przy pomocy bombardowania. Lecz samo bombardowanie bez dodatkowej akcji armii inwazyjnej nie potrafi zdobyć najsłabiej nawet bronionego punktu oporu.

Teren przed nami otwarty jest na szerokość drogi t. j. 50-60 metrów.

W tej chwili, w lesie po przeciwnej stronie wznosi się ogromny krzyk "hurra" i z lasu wywalają się roje, jakby wał niemieckiej piechoty.

Krzyczę "ognia". Powstaje piekielna strzelanina i jednocześnie widzę jak całe grupy naszych żołnierzy zrywają się i uciekają w tył do lasu. Inni wahają się a jeszcze inni walą na oślep z karabinów Panu Bogu w okna. Nieludzki ryk pułkownika "stać", "stać", podchwyтуjemy.

Biegnę wzdłuż linii i rękami łapię żołnierzy, bo już głosu nie słysząc. W tym momencie ratuje sytuację trzeci naszego karabinu maszynowego, którego dopadł oficer łączności pułku.

Ci którzy mieli uciec, uciekli. Ci co wahali się, prędko zajmują miejsca i cała orkiestra grzmi jakby się góry waliły. Wiem tylko tyle, że w tym momencie ochłonąłem, bo wiedziałem już, a raczej czułem, że "nie dojdą".

Atak niemiecki załamuje się, a my zamiast ścigać ich, mamy u siebie taki chaos, że zdobywamy się tylko na żegnanie ich dalszymi strażakami i seriami z c.k.m.

Kiedy po chwili strzelanie staje się bezcelowe, trzeba żołnierzy bić po plecach aby przestali, bo nie słyszą.

W jakiś czas potem, nie wiem ile czasu upłynęło, może kilka minut, wyłapuję jedną ze swoich drużyn i na rozkaz dowódcy pułku wysyłam ją z sierżantem szefem jako patrol na przedpole.

Czuję, że trzeba porządkować kompanię, ale czuję też, że muszę chwilę odpocząć i siadam pod drzewem, koło pułkownika, też mocno wyczerpanego. W lesie cisza, zmrok zapada.

Powracający sierżant prowadzi rannego jeńca i powiada, że w lesie są zabici i ranni Niemcy.

- Ale ktoby ich tam teraz szukał - a całych, t. j. zdrowych niema i musieli prędko wiać, bo doszedł tyralierą do skraju lasu i wszędzie jest cicho.

Przystępujemy do porządkowania kompanii. Wojsko leży na stanowiskach więc tylko wywożuję i przesuwam swoje drużyny. Trzeciego plutonu jeszcze niema, ale temu się przecież nic nie stało, bo był w tyle a tam cicho.

Idę wzdłuż linii, po cichu liczę swoich ludzi i rozpacz mnie ogarnia: nie mogę się doliczyć nawet dziewięćdziesięciu. Liczę na prędce: odeszło z plutonem cekaemów ze dwudziestu, w taborach 10, w Łaszczowie straciłem około 30. to razem 60. Z Lublina wyszło ze mną 240, tu mam około 90, w trzecim plutonie jest ich pewno ze 30, razem 120. Więc dzisiaj straciłem około 60 ludzi, czyli jedną trzecią część kompanii, ze stanu jaki miała przed wejściem do lasu. Ładne rzeczy!

Nadciągający trzeci pluton witam, jakby mi kto dzieci rodzone przyprowadził. Konie, które z sobą przyprowadzają oddają pod opiekę sierżanta i stanowią one teraz jedyny nasz tabor.

Na linii wystawiamy czujki, a żołnierze układają się na ziemi kilka kroków w tyle. Sam jestem nieuduzko zmordowany, więc się też moszczę pod jakimś drzewem, ale nie śpię. Podniecenie nie pozwala usnąć, a słyszę, że kompania też rozgadała się. Teraz dla odmiany mamy wodę, bo deszczyk zaczyna siąpić. Żołnierze robią mi jakiś daszek i jest znośnie.

W pewnym momencie schodzą się do mnie łaziki z trzeciego plutonu i znoszą "zdobycz", zabraną z niemieckich samochodów. A więc jest pistolet, nasz polski "Vis", cztery lornetki, jeden piękny płaski aparat fotograficzny, gramofon z niemieckimi płytami, pudełko sucharów i puszka konserw.

To wszystko ma być dla mnie! Żołnierze z innych plutonów z zazdrością wpytują, czy wieś teraz pusta, czy są tam jeszcze samochody i czy jeszcze tam co zostało. Rozumiejąc o co chodzi, kategorycznie zabraniam gdziekolwiek się oddalać wyjaśniając, że Niemcy są wszędzie naokoło.

Nową sensację wzbudza Niemiec, który wylazł z lasu i zgłosił się do naszych posterunków aby go

zabrali i opatrzyli, bo jest ranny.

Przyprowadzają go do mnie. Wypytuję go. Austriak. Ranny lekko w gardło. Nie może dużo mówić. Każę go obandażować i odstawić do dowódcy pułku. Naiwnie prosi, aby go po opatrunku wypuścić. Na moją odpowiedź, że nie, mocno się dziwi "bo przecież sam przyszedł, dobrowolnie, i tylko po opatrunek".

Śmieję się i powiadam:

- Ty już chłopie wojnę skończyłeś, pójdziesz teraz do obozu, tam spotkasz dużo kolegów... - tu jeniec tonem zgorzonym przerywa:

- Nicht so viel!

- Jakto, a dwa dni temu, w Łaszczowie, nie wiesz co było?

- No tak, Łaszczów, ale przedtem my braliśmy więcej.

Na tym rozmowę kończę i jeńca odprowadzają. Drzemię. Słyszę jak wołają, że łącznik do dowódcy pułku przybył. Potem cisza, a potem mnie wołają, do dowódcy pułku i odpoczynek się kończy.

- Łącznik zawiadomił, że na drodze za szosą, która stanowi jedyną naszą arterią komunikacyjną na tyły, został obstrzelany przez jakąś bandę dywersyjną, która się tam usadowiła. Proszę wyznaczyć dwie drużyny pod dowództwem oficera i drogę oczyścić.

Wracam do kompanii i zapytuję zebranych oficerów, kto się zgłasza na ochotnika. Milczenie. Pomęczeni.

- Więc kto, panowie? Ach, prawda, porucznika Moczulskiego niema! Więc panie sierżancie, proszę zarządzić zbiórkę trzeciego plutonu i pójdziemy my z panem.

Na to wrywa się ppor. Piechota.

- Panie poruczniku Marzec, my pójdziemy. Zgoda?

- Zgoda!

Upominam ich jednak, że sprawa ważna i byle jak jej załatwić nie można, a żadne późniejsze tłumaczenia nie będą miały miejsca.

- Dlatego nie będę nikogo z panów wyzna-

czać. Może iść ktoś tylko z dobrej woli. Jak będą jakieś poważniejsze przeszkody należy je zwalczyć.

Marzec i Piechota są już zupełnie zdecydowani.

- Niech pan będzie spokojny, niech to wszystko diabli! Będziemy odważni i już!

Daję im nie dwie drużyny, a cały pluton, bo moje plutony są teraz takie szczupłe, a sam idę znowu spać. Jak długo spałem, nie wiem. Budzą mnie, bo zarządzony został wymarsz. Marzec i Piechota wrócili już; droga wolna, pułkownik już zawiadomiony o tym.

Zbiórka, ubezpieczenia i ruszamy. W lesie ciicho, tylko od czasu do czasu artyleria przypomina, że nieprzyjaciel pamięta o nas.

Przesuwamy się koło pogruchotanych taborów. Suniemy kawałek drogi szosą, a potem skręcamy na drogę boczną, którą tu przymaszerowaliśmy. Odwrót!

Pułkownik idzie pieszo. Kiedy mijają go moja kompania, adiutant zapytuje mnie, co to za konie. Odpowiadam.

- Moje "biedki amunicyjne" zdobyte w Hutniskach.

Kapitan śmieje się, a pułkownik w niezdecydowaniu spogląda na konie. Chwilę się waha, nakoniec nie wytrzymuje i rozkazuje.

- Dawać tu te konie. Ja siadam na jednego, adiutant na drugiego, a pan - wskazuje na mnie - siadzie na trzeciego.

Czy był to dowód uznania i względów dla mnie, czy też po prostu krępowało starego zabrać nam konie, nie wiem, ale w każdym razie jest to z jego strony dużo, bo dotychczas naodwrot, pilnował aby oficerowie szli pieszo razem z ludźmi, a dowódcę drugiej k.m. nawet ukarał surowo, kiedy go zastał w czasie marszu na wozie.

Maszerujemy przez las. Potem wychodzimy na pola, przez które już szliśmy, dwa dni temu w innym kierunku i stopniowo oddalamy się od lasu, w którym zostało tylu naszych towarzyszy. Nieprzyjaciel strzela w ślad za nami ciągle i nie

wiem czy to przypadek, że pociski posuwają się ciągle równoległe z nami, tak jakby wiedział, że my odchodzimy w tym kierunku.

Przed świtem zatrzymujemy się koło wioski, którą dwa dni temu też mijaliśmy, składającej się właściwie z kilku chałup, koło jaru. Zakwaterujemy się. Odpoczynek się należy, to też kiedy żołnierze przynoszą do izby z pobliskich stogów skomę, walę się z innymi oficerami i zasypiam momentalnie.

Budzę się rano wśród gwaru i krzątania. Wyżają na podwórze, gdzie uradowany szef informuje mnie, że nadciągnęło kilkunastu z tych rozproszonych, tak, że stan kompanii wynosi około stu trzydziestu ludzi. Cieszę się razem z nim. Poza tym informuje mnie, że w sąsiednim jarze, jest kupa wszelkiej broni i ryszpunku, a są nawet wozy. Polecam mu więc zaraz, prędko, zabrać ludzi i zafasować co się nam nada, a przede wszystkim amunicję i po załadowaniu na jakiś lepszy wóz przyciągnąć go tu. Konia mojego, który jest jednak ranny, zostawimy gospodarzowi, a weźmiemy jego i będzie już tabor, bo znalazła się kuchnia, a raczej dwie z naszych taborów i jeden wóz.

A więc porządkujemy się i organizujemy na nowo. Idę do chałupy, gdzie stoi dowództwo pułku, aby zasięgnąć wiadomości. Przy wejściu powitany zostaje przez tubalny głos pułkownika.

- Dawać tu porucznikowi zupę, - i za chwilę siedzę przed miską rosołu, czy też kartoflanki z gęsi.

Pułkownik właśnie dyktuje raport do grupy.

- ...straty w rannych i zabitych około 25%, w rozproszonych około 15%.

Oho, dużo! Widocznie w innych kompaniach jeszcze gorzej niż u mnie.

Adiutant zawiadamia mnie, że mam zaraz podać wnioski na odznaczenia i awanse szeregowych. Jestem przyjemnie zaskoczony i pytam, czy mam podać również, wobec wczorajszej decyzji. Moczulskiego.

d. c. n.

Cały wiecie, że...

Niemcy planują teraz wysyłanie na Anglię eskadr bombowców bez załóg. Kierowane z oddalenia, mają być narzędziem zemsty za naloty brytyjskie. Tak podaje za propagandą niemiecką szwajcarska Neue Zuericher Zeitung.

Dziennik ten pisze:

"Niemcy ze swoimi ograniczonymi możliwościami przemysłowymi nie mogą budować tysięcy ciężkich bombowców, jak Ameryka, W. Brytania, czy nawet Rosja. Postanowili przeto za pośrednictwem nowych wynalazków wyrównać swą słabość.

Projekty bombardowania Anglii przez dalekonosne działa, wyrzucające specjalne raketowe pociski, zostały już zarzucone. Propaganda niemiecka trąbi natomiast na cały świat o wysłaniu w krótkim czasie setek bombowców bez załóg.

Zachodzi jednak pytanie, dlaczego Niemcy nie bombardują Anglii w odwet za bombardowanie Niemiec.

Odpowiedź jest prosta: Niemcy nie są w stanie stworzyć w obecnych warunkach odpowiedniej siły powietrznej, mogącej sprostać wszystkim zadaniom i z tego powodu skazane są na przewagę anglo-saską".

Pewien korespondent lotniczy pisze:

"Wiadomość powyższa brzmi podobnie do innych tricków propagandowych p. Goebbelsa. Przypuszczalnie przeznaczone to jest na użytek wewnętrzny.

Pomijając fakt, że jest to bardzo trudny problem techniczny, użycie tego rodzaju samolotów przy dzisiejszych nowoczesnych środkach obrony byłoby nader trudnym zadaniem".

Dowódca 8-mej Armii, gen. sir Bernard Montgomery zapisuje dzień po dniu w swoim pamiętniku. Zawiera on napewno masę ciekawych momentów o kampanii w Afryce i na Sycylii. Dziennikarze i korespondenci wojenni składali mu już masę ofert. Wszystkim odmówił, dodając: "Pamiętnik leży w pewnym schowku, pod kluczem, a nikt nie wie, gdzie!"

Geraldina.

Bywalcy warszawskich teatrów rewiowych pamiętają niewątpliwie, śpiewaną na krótko przed wojną sentymentalną piosenkę, której refren zaczynał się "O Geraldino!". Bohaterka tej piosenki przejeżdżała potem wkrótce przez Warszawę w drodze na zachód. Niewiele wiemy obecnie, co się dzieje z Geraldiną. Splot wypadków wojennych wysunął na widownię jej matkę. Dane zaczerpnęliśmy z amerykańskiego czasopisma "Az Ember", pióra D. Medve.

W lipcu 1914 roku spędzała beztrąsko czas w Paryżu zamożna Amerykanka, panna Stewart. Było to piękne lato i nikt nie chciał wierzyć w możliwość wojny. Panią była szczęśliwa, gdyż kochała pierwszą romantyczną miłość swego życia. Jej wybrańcem był młody Węgier, attaché ambasady austriackiej w Paryżu, hrabia Juliusz Apponyi. W miesiąc później wybuchła jednak wojna. Ambasadę zamknięto, a piękny attaché zmuszony był opuścić Francję. Lecz zakochana Amerykanka nie chciała rozłączyć się z najdroższym. Pojechali do Szwajcarii, wzięli ślub i hrabina Apponyi osiadła w węgierskich dobrach swego męża. Mieli troje dzieci, w tym dwie córki: Virginie i Geraldinę.

Gdy wojna się skończyła, Węgry utraciły północną część t. j. Słowację na rzecz Czechosłowacji. Szczęście amerykańskiej hrabiny nie trwało długo. Wkrótce po wojnie hrabia Apponyi zmarł. Kryzys powojenny nadszarpaną dużą niegdyś fortunę i wdowa z trojgiem dzieci znalazła się w ciężkich warunkach finansowych. Gdyby była Węgierką, zwróciłaby się pewno do rodziny o pomoc dla siebie i dzieci. Lecz hrabina Apponyi była Amerykanką. Zabrała dzieci, kupiła bilety do Florencji, sprzedała tam swe klejnoty i za otrzymane pieniądze otworzyła pensjonat.

Lata przeszły. Virginia wyrosła na piękną pannę i rodzina Apponyi'ch zaprosiła ją do Węgier. Młoda hrabianka powinna wyjść za mąż, a trudno o

lepszą ku temu sposobność, jak w czasie karnawału w pięknym Budapeszcie.

W kilka lat później Geraldina poszła w ślady swej siostry. Opuściła pensjonat we Florencji, w którym pomagała swej matce i też udała się do Budapesztu po złote runo z tekturową walizeczką w rękę. Podobnie jak Virginia stała się ulubienicą towarzystwa budapeszteńskiego. Nikt tylko nie wspominał o matce, prowadzącej nadal pensjonat we Florencji.

Geraldinie jednak wkrótce znudziło się płytkie życie towarzyskie; obrzydli jej starający się o jej rękę kawalerowie i zaczęła rozglądać się za jakąś pracą. Została urzędniczką w Muzeum Narodowym, z bardzo skromnym na początek wynagrodzeniem.

W styczniu 1938 r. urządzano przedstawienie na cele dobroczynne w Operze Królewskiej. Atrakcją tego wieczoru było pojawienie się na scenie zamiast aktorów i aktorek śmietanki budapeszteńskiego towarzystwa. Członkowie arystokracji i plutokracji wystąpili w żywych obrazach, przybrani w kostiumy słynnych gwiazd operowych. Geraldina, jako Mimi z "Cyganerii", wystąpiła w głęboko wyciętej, czarnej sukni z rozpuszczonymi włosami, które w pięknych splotach opadały na ramiona. Gazety później podały, że publiczność w pierwszej chwili została tak oszołomiona nadzwyczajną pięknnością dziewczyny, że przez dłuższą chwilę panowała na widowni głęboka cisza. Następnie jednak wybuchły żywiołowe owacje i Geraldina ciągle wywoływana, zmuszona była kilka razy ukazywać się na scenie. Był to wielki sukces dla młodej dziewczyny.

Poczytne pismo węgierskie, "Życie Teatralne", zamieściło fotografie z tego przedstawienia. Przypadkowo trafiły one do rąk władcy Albanii, mieszkającego spokojnie w swej stolicy o kilkaset kilometrów od Budapesztu. Przeglądając zdjęcie, miał on rzec: "Jeżeli dziewczyna ta jest chociaż w części tak piękną jak na tych fotografiach, musi zostać moją żoną." Lecz małżeństwo króla nie jest jego prywatną sprawą i trzeba by-

ło rzecz załatwić w drodze dyplomatycznej. Użytkano więc zgodę Papieża i rządu węgierskiego, zanim Geraldina i jej matka dowiedziały się o królewskich planach.

W międzyczasie nastąpiła również zmiana w życiu matki Geraldiny. We florenckim pensjonacie zamieszkał pewien francuski oficer i wkrótce właścicielka pensjonatu została jego żoną. Wiadomość o tym małżeństwie nie wzbudziła żadnej sensacji. Natomiast małżeństwo Geraldiny stało się głośnym w całym świecie. Taki już jest przywilej królów. Geraldina została małżonką króla Albanii, Achmed Zogu. Matka Geraldiny i jej francuski ojczym byli obecni na ślubie młodej pary, lecz wkrótce świat o nich zapomniał. Natomiast wiele pisano o młodej, pięknej królowej, tymbardziej, że wkrótce miał przyjść na świat następca tronu. Król Zogu sprowadził do Tirany słynnego włoskiego lekarza.

Niestety, za lekarzem wkroczyły do Albanii również i włoskie dywizje. Geraldina wraz ze swym dwudniowym synem zdołała uciec i przejechała granicę w samochodzie. W tym samym samochodzie, który rok temu otrzymała jako ślubny prezent od hrabiego Ciano. Dzienniki szeroko opisywały dramatyczną ucieczkę Geraldiny, a niektóre z nich wspominały, że w Grecji Geraldina spotkała swą matkę, która zabrała całą rodzinę do Francji.

Albania przestała być suwerennym państwem i wkrótce świat zapomniał również i o Geraldinie. Kiedyś ukazała się w pismach fotografia przyszłego następcy tronu Albanii, małego Aleksandra. Jest to piękny chłopiec. Albańczycy nazwali go "Synem orła", imieniem doskonale odpowiadającym jego wyglądowi.

Nie słyszano również wiele o matce Geraldiny. Francuski oficer, jej mąż, jest słynnym dzisiaj generałem Giraud. Gdy Niemcy zajęli Francję, dostał się do niewoli, lecz jak wiadomo uciekł z niej. Żona jego przez dłuższy czas posyłała mu w listach i paczkach kawałki mocnego sznurka. Z tego upłótł on mocną linę, po której opuścił

się z wysokiego muru. Gdy się wieść o tym rozniosła, świat nie zdawał sobie sprawy, że przeznaczenie po raz trzeci wysuwa dawną pannę Stewart na czoło sensacji dnia. Panna Stewart, wdowa po hr. Apponyi, obecnie żona generała Henryka Honoriusza Giraud, po jego ucieczce do północnej Afryki pozostała we Francji, przy czym została uwięziona przez Niemców i obecnie trzymana jest w więzieniu w charakterze zakładnika.

Od Redakcji.

Dok. ze str. 2-4.

razie trzeba płacić. Jesteśmy jednak cierpliwi i jeszcze raz przeskaliliśmy upomnienia. Nawet bardzo grzecznie i skromnie zredagowane...

Reasumując powyżej napisaną historyjkę, streszczamy się:

Od 1 października b.r. "Co Słyszać" wychodzić będzie dwa razy na miesiąc, z datą 1-go i 15-go każdego miesiąca. Będziemy starali się powiększyć objętość niektórych numerów, nie zmieniając ceny. /W zależności od papieru/.

Prenumerata kwartalna wynosić będzie trzy szylingi, zamiast dotychczasowych sześciu. Numer pojedynczy bez zmiany - 6d. Warunki sprzedaży dla pp.kolporterów, świetlic, kiosków i księgarń - te same, co uprzednio.

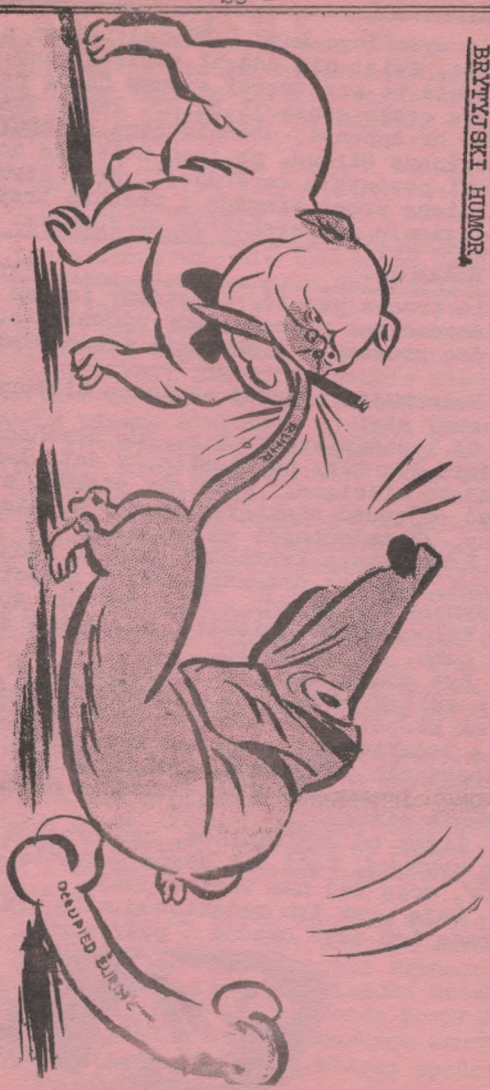
Byt czasopisma oraz jego poziom w dużym stopniu zależy od naszych przyjaciół-Czytelników. Brak kłopotów finansowych pozwala skoncentrować się redaktorom i pracować wydajniej. Regularne uiszczanie prenumeraty, zdobywanie i kaptowanie nowych prenumeratorów, znacznie ułatwi prowadzenie pisma.

Listy od Czytelników, zawierające bądź zdrową krytykę, bądź też pewne sugestie co do tematów, mogą dać nam wielką pomoc.

Dają przy tym redaktorom miłe wrażenie, że praca ich jest owocna i pożyteczna.



BRITTYJSKI HUMOR



"Never was there such a case of the bitter bitten"—Mr. Churchill

Published by Wiesława Stalińska
Printed by „Głoska”

43, BRUNTSFELD PLACE, EDINBURGH
REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Tel. 53061.